



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO

### we Lwowie.

(Dalszy ciąg.)

### III.

#### Przygotowanie nauczycieli i nauczycielek początkowych.

W szranki naszego czasopiśmiennictwa wstąpił niedawno błędny rycerz z zapuszczoną przyłbicą pod godłem Bolesława Maryckiego, najwzdorniej w poufalej pretensyi pokrewieństwa z dzielnym Szymonem Maryckim ze złotego wieku; rycerz ten czule wzdycha do takich szczegółowych przewodników metodycznych, „coby za rękę prowadziły chcącego nauczać.” Zapóźnione to westchnienie pedagogiczne kwalifikuje się prosto do... muzeum archeologicznego. Dziś już nikt nie wierzy w to, aby się można przy szczegółowym podręczniku, jak kanarek przy pozytywce, nauczyć rzemiosła pedagogicznego. Metody nam potrzeba, a nie bezdusznych i zabójczych dla dzieci szablonów! Metody nauczania nikt nie zdobędzie bez ogólnego wykształcenia, bez znajomości wykładanego przedmiotu o tyle przynajmniej, aby swobodnie nad materiałem zapanować, bez obeznania się z dydaktyką, bez praktyki pedagogicznej, a przy tem wszystkim bez znajomości dziecka. Stan psychologiczny i rozwinięcie umysłowe ucznia, a nie gotowa recepta bakalarska wskazują, panie Bolesławie Marycki, jak lekcya w szczegółach ma być wyłożona. Wszyscy rozumieją znaczenie tak zwanych lekcji wzo-

rowych, ale też wszyscy nauczyciele zawodowi (nie mówimy tu o amatorach), zgadzają się na to, że zbyt drobiazgowo „za rękę prowadzące” przewodniki, przeszkadzają samodzielności młodego nauczyciela, a zwłaszcza nauczycielki, ułatwiając mechaniczne, a nader dogodnie dla osób ospałych, traktowanie rzeczy, niby wyszywanie na kanwie podług podstawionych wzorów. Drobiazgowo podręczniki mają nadto tę złą stronę, że obalamują wiele osób, które bez odpowiedniego przygotowania znajdują tu ułatwienie do rozpoczęcia partactwa pedagogicznego.

Zapytajmy się całej Europy: czy trybowanie nauczycieli w szkołach zawodowych, czy programat nauk po seminariach pedagogicznych jest już sprawą stanowczo załatwioną i ustaloną? A przecież austriacki Minister Oświaty, dr. Gautsch zwołał niedawno delegacją (ankietę) do Wiednia, która nad temi rzeczami szeroko rozprawiała i niejedno do poprawienia wykazała, przekładając przedewszystkiem gruntowność nad różnorodność kształcenia kandydatów nauczycielskich. Oddawna już pojawiają się poważne zdania, że seminarium pedagogiczne jest szkodliwe; czas na nie poświęcony kandydat nauczycielski korzystniejby spożytkował, pobierając wyższe ogólne wykształcenie metodą uniwersytecką.

Godna uwagi jest uchwała, jaka w tej mierze zapadła właśnie na zjedzie nauczycieli galicyjskich we Lwowie; wydali oni zdanie sami o sobie, o własnym wykształceniu, o własnym przygotowaniu do zawodu pedagogicznego. Ostatni punkt pierwszego posiedzenia stanowił rezolucją: „Otwarcie czwartego roku w seminariach nauczycielskich, obok utrzymania dotychczasowych klas kursów przygotowawczych, jest rzeczą wielce pożądaną” motywował ją Wł. Świechło, prof. seminarium nauczycielskiego w Tarnopolu. Wywiązały się nadzwyczaj ożywione rozprawy; rozpoczął je p. Rosoł, nauczyciel ludowy z Nowego Sącza, dowodząc, że przedłużenie

nauki w seminarium o rok jeden to środek połowiczny, który palącej potrzeby: większego niż dotąd wykształcenia nauczyciela ludowego, nie usuwa. Głos p. Rosoła tem więcej zasługuje na uwagę, że on sam niedawno wyszedł z seminarium, niedawno rozpoczął praktykę nauczycielską i sam na sobie czuje braki, skoro nader energicznie domaga się gruntowniejszego rzeczowego, istotnego, nie zaś formalnego, sztucznego przygotowania nauczycieli. Nauczyciel ludowy—mówił p. Rosoł—jeśli ma godnie odpowiedzieć swemu stanowisku i zadaniu, jakiego statuta wymagają, powinien się do tego koniecznie przygotować przez naukę głębszą, przez studia określone; powinien koniecznie posiadać taki zakres wiedzy, jaki jest do ugruntowania jego fachowości potrzebny. Ku temu najodpowiedniejsze byłoby założenie Pedagogium we Lwowie, rodzaj uniwersytetu nauczycielskiego, na wzór istniejącego w Wiedniu; gdy atoli o tem nateraz marzyć nie można, wypada przynajmniej podnieść wymagania od wstępujących do seminarium, t. j. nie przyjmować z niższą kwalifikacją, jak tylko z ukończonych czterech klas gimnazjum, szkoły realnej lub całkowitej szkoły wydziałowej,—wobec tego klasa przygotowawcza w seminarium traci racją bytu i powinna być zniesiona.

Wielu mówców zapisało się do głosu. Pan Prysak, prof. seminarium nauczycielskiego żeńskiego w Krakowie, oznajmił, jako dobrze poinformowany przez p. Jabłońskiego, dyrektora tegoż seminarium, jednego z członków delegacji szkolnej w Wiedniu, że na mocy uchwał tejże delegacji, czwarty rok w seminarium będzie zaprowadzony, kurs przecież przygotowawczy pozostanie jak dotąd; wobec tego wszelkie rozprawy w tej treści są spóźnione; przyjęcie zaś rezolucyi, jaka tu została przedłożona, zgadzać się właśnie będzie z zamierzonym rozporządzeniem rządowem. Nie przeszkodziło to bynajmniej żywym rozprawom: jedni mówcy popierali p. Roso-

ła, a nawet dalej jeszcze, niż on, zachodzili, żądając nadzwyczajnego nieledwie wykształcenia nauczyciela, aby on mógł „dominować inteligencją,“ aby obronną ręką wychodził ze stosunków z duchowieństwem, z arystokracją; inni zwracali uwagę na zmniejszające się uczęszczanie do seminarjów, które obecnie zesłoby do minimum przy zniesieniu klasy przygotowawczej, teraz zwłaszcza, gdy czesne (opłata szkolna) w gimnazjum i szkołach realnych zostało podwyższone. Motywowali oni dalej, nie bez pewnej słuszności, że utrudnienie wstępu do zawodu nauczycielskiego nie jest jedynym środkiem podniesienia tego stanu; wszędzie są lepsi i gorsi; wiele tu od osobistej pracy i od osobistych przymiotów zależy. Zgromadzenie z nadzwyczaj żywymi oznakami potakiwania lub przeczenia przyjmowało wywody mówców. Z objawami radości przyjęto wnioski, dalej sięgające, niż proponowana rezolucja p. Swiechły, a mianowicie: 1) kandydat do seminarjum ukończyć musi 4 klasy szkół średnich lub całą szkołę wydziałową; 2) klasa przygotowawcza się znosi; 3) nauka w seminarjum ma trwać 4 lata.

Uchwała ta na teraz ma tylko moralne znaczenie i jest świadectwem nader wymownym, że nauczycielstwo galicyjskie, w poczuciu świadomości ważnego swego zadania, czyni pewnego rodzaju akt skruchy publicznej, nie tając trudności, wyznając własną bezsilność i pragnąc się wzmocnić przez większe, niż dotąd, wykształcenie. Uważamy to za fakt nader pocieszający i wskazujemy go za przykład tym wszystkim, którzy z lekceważeniem do zajęć nauczycielskich przystępują. Dodać tu jednak jeszcze winniśmy, że samo wykształcenie, choćby nawet uniwersyteckie, nie czyni jeszcze nauczyciela. Nauczyciel, początkowy zwłaszcza, jest przede wszystkim wychowawcą, kierownikiem: niechże więc pamięta, że sam przede wszystkim powinien być dobrze wychowany; jeżeli mu dom tego nie dał, zdobywać to musi przez dużą pracę nad sobą, przez doświadczenie życiowe, przez obycie się z ludźmi lepszego towarzystwa.

Możeby mniej naszych nauczycielek domowych potrzebowało prywatnie i publicznie skarżyć się na niewłaściwe obchodzenie się z nimi w domach obywatelskich, gdyby się sumienia politycy, nietylko ze swym wykształceniem umysłowym i pedagogicznym, ale także z własnym wychowaniem, ogładą towarzyską, taktem — rzeczą mi niezbędnymi przy wyzwolinach na towarzysza sztuki wychowawczo-nauczycielskiej.

Cały ustęp powyższy o przygotowaniu nauczycieli i nauczycielek pragnęlibyśmy na wszystkich szpaltach *Bluszczu* rozciągnąć dla przypomnienia wszystkim czytelnikom, że czasy amatorsztwa pedagogicznego i receptury dydaktycznej dawno już przeminęły. Kto chce spełnić godnie obowiązki tego zawodu, niech wie, że przede wszystkim gruntowne wykształcenie i kultura towarzyska są mu potrzebne, następnie fachowe uzdolnienie, zdobyte zarówno drogą teoretyczną, jak i praktyczną, a w końcu dopiero rozmaite wskazówki, podręczniki przewodniki, i poradniki.

#### IV.

##### *Przeciążenie w szkołach żeńskich.*

Posiedzenie drugie odbyło się tegoż samego dnia co i pierwsze (19 lip.) w porze popołudniowej; wielu członków zwiędziało przedtem muzeum Dzieduszyckiego, gdzie uprzejmy gospodarz osobiście oprowadzał gości, nie szczędząc objaśnień. Odczytano przede wszystkim wnioski w liczbie kilkunastu, podane przez członków zjazdu, i oddano je osobnej komisji do rozpatrzenia i przedłożenia na ostatnim posiedzeniu: spotkamy się więc z nimi poniżej. Następnie dr. Zajączkowski, prof. politechniki, powołany obecnie do Rady Szkolnej krajowej, referował wniosek przyznania Stanisławowi hrabiemu Badeniemu tytułu członka honorowego Towarzystwa. Wniosek słusznie przyjęto żywymi oklaskami, gdyż hr. Badeni, który obecnie, dla jakiegoś osobistego nieporozumienia z marszałkiem Zybkiewiczem,

z zaszczytnie sprawowanego stanowiska członka Rady Szkolnej Krajowej ustąpił, jest wzorowym obywatelem, broni spraw szkolnych z trybuny sejmowej, odznaczywszy się w tym względzie na ostatnim zwłaszcza sejmie, hojnie wyposażył szkołę, funduje nagrody dla wzorowych nauczycieli, łoży na „Wydawnictwo oświaty ludowej.“

Ostatnim, niepozbawionym szerszego interesu, był referat p. Macińskiego, dyrektora szkoły miejskiej w Krakowie na Smoleńsku „O przeciążeniu w szkołach ludowych miejskich a zwłaszcza żeńskich.“ Rzecz-to poważna, oparta na szerszych poglądach i doświadczeniu pedagogicznym, wzbogacona liczbami statystycznymi. Niektóre ustępy, dotyczące uposzczenia fizycznej strony wychowania dziewcząt, zaniedbania praktycznych celów w wychowaniu kobiety jako przyszej matki i pani domu, przewagi po stronie mechanicznego uczenia pamięci, bezmyślnej pisaniny kursów, — zdawały się wzorkami, żywcem zdjętymi z niektórych pensji żeńskich warszawskich. Autor streścił wywody swoje w następujących 7-iu punktach:

1) Przeciążenie w szkołach ludowych miejskich, szczególnie żeńskich, istnieje i wywiera szkodliwy wpływ, tak na zdrowie, jak i na umysłowy rozwój młodzieży szkolnej.

2) Szkoła ludowa ma równomiernie zdążać do prawidłowego rozwoju umysłowego, wpływać na wykształcenie uczucia i charakteru w młodzieży, oraz troskliwie pielęgnować i rozwijać jej zdrowie fizyczne.

3) Winniśmy kształcić ciało przez należyte urządzone w szkole i w dostatecznej ilości godzin wykonywane ćwiczenia ciała (gimnastykę), przez troskliwe przestrzeganie, przy układaniu planu, różnorodności zajęć w szkole, przez należyte urządzenie pauz, przez pozostawienie dwóch półdzionków i niedzieli wolnych od zajęć szkolnych i od pracy domowej, poruczonej przez szkołę.

4) Młodzież, przechodząca do szkoły z ukończonym 6-tym rokiem życia, nie jest ani fizycznie ani umysłowo dostatecznie przygotowana do korzystania z nauki szkolnej. Dopiero z ukończonym 7-ym rokiem życia możemy młodzież bez szkody dla jej fizycznego i moralnego zdrowia zatrudniać w szkole ludowej.

5) Wymiar godzin szkolnych dla młodzieży jest zbyt wysoki. Jeżeli człowiek dojrzały nie jest w stanie z równym nateżeniem dłużej nad 3 godziny umysłowo pracować, to zniewalanie niedojrzałej młodzieży do 4-godzinnej pracy umysłowej w jednym ciągu jest dla zdrowia szkodliwe, a dla nauki bezpożyteczne. Nigdy dłużej nad 3 godziny w jednym ciągu młodzież nauką szkolną zatrudnioną być nie powinna. Przestrzeżać tej zasady należy z całą ścisłością przede wszystkim w szkołach żeńskich, zarówno w niższych jak i w wyższych klasach.

6) Zatrudnienia domowe odnosić się mogą tylko do takich prac, które w szkole dostatecznie wyjaśnione zostały, a mają być tak obliczone, aby to zatrudnienie młodzieży do 10 roku życia wymagało co najwyżej  $\frac{1}{2}$ , starszej nad 10 lat —  $\frac{1}{3}$  części obowiązkowych godzin szkolnych. Niedziela ma być bezwarunkowo wolna od pracy. Rysunki, kalligrafia, a przede wszystkim u dziewcząt roboty ręczne, nigdy nie mogą być przedmiotem pracy domowej, przez szkołę wyznaczanej.

7) Każda szkoła posiadać powinna potwierdzony przez władzę specjalny plan naukowy, zastosowany do stosunków miejscowych, wygotowany na podstawie ogólnego planu obowiązującego.

Powstała ożywiona dyskusja przede wszystkim nad tem: czy istnieje przeciążenie w szkołach ludowych; żądano, aby zgromadzenie uznało przeciążenie za fakt ogólny; były przeciwie głosy, po których stronie stanął p. prezes Sawczyński; proponowano następnie wypracowanie szczegółowych planów i podręczników dla szkół z uwzględnieniem najnowszych wymagań higienicznych, tudzież ekonomicznych warunków danej miejscowości. Dyskusja tak się rozstrzeliła, że trudno ją było zreasumować; postanowiono więc sprawę odłożyć do roku następnego, zobowiązując Zarząd do wypracowania odpowiednich pozytywnych wniosków. Praca p.

Macińskiego, za którą zgromadzenie uchwaliło podziękowanie autorowi, drukować się będzie w „Szkole.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

## POGA WĘDKA.

Ażem sam podskoczył w górę, dowiedziawszy się, że ceny zboża podskoczyły nagle i niespodziewanie, jakgdybym miał gdziekolwiek jaką stodołkę i śpichrzyk zapełniony; był to więcej odruch filantropijny, radość z powodu nadziei poprawienia humoru i interesów bliźnich moich z nad zielonej miedzy.

Fakt ten wywołał u polityków z professyi rozmaite objaśnienia, pomiędzy którymi pesymistyczne przeważały; ale los bywa figlarzem bardzo psotnym, ceny znowu spadły, a z niemi polityczne kombinacje.

W tych czasach ludzie, mający głowę, odbywają nią dwa ruchy, jeden w górę, aby spojrzeć w niebo, czy będzie pogoda, drugi na dół, by w dziennikach odczytać telegramy, czy się na burzę nie zanosi, a z tych dwóch obserwacji wysnuwają dopiero wnioski na przyszłość.

Od tego spoglądania ciekawie w górę i w dół kark już boleć zaczyna, a do wniosków stanowczych dojsć trudno.

Co do pogody przynajmniej można mieć jaką taką pewność, odczytawszy przepowiednie *Kurryera Porannego*, który dla mnie nabiera coraz więcej powagi nieomyślnej wyroczeni. Kiedy każe zaopatrzyć się w palto i parasol wieczorem, nie wyszedłbym z domu z laseczką w rękę i letnim tużurku za nic w świecie: taką mam wiarę w jego prorocstwo i w moją fatalność, że będę skropiony na pewno, ilekroć się deszczu nie spodziewam. Są bowiem ludzie, którym zawsze chleb z masłem wypada z ręki na stronę posmarowaną, a parasol rzadko kiedy oddaje właściwe usługi. Zdaje mi się, że do tych i ja należałem od dzieciństwa.

Trudno: trzeba się godzić i z taką fatalnością; bywają gorsze.

Weźmy choćby ojcowstwo w pewnych warunkach i w pewnych porach roku, np. teraz na początku roku szkolnego. Ilekroć w tym czasie przypadło mi pisać felieton w *Bluszczu*, a nie chwaląc się, piszę go coś od lat dziesięciu, z malutką przerwą, nieustannie — tyle razy stereotypowo powtarzam skargi na brak miejsca w szkołach i na kłopoty rodziców i opiekunów, niewiedzących, jaką szparą we drzwiach, albo dziurką od klucza wcisnąć do tej lub owej klasy swojego malca.

Powtarza się to z roku na rok, co świadczy z jednej strony pochlebnie i pocieszająco o naszej dążności do oświaty, z drugiej zasmucająco o trwałości stosunków szkolnych, wyczekujących reformy.

Szkoły publiczne bywają przepełnione, miejsca w nich zawsze brak, nie starczy go na całą ilość młodzieży, garnącej się do nauki; muszą w tym razie pomagać zakłady prywatne — i pomagają też, oile mogą; ale pominąwszy, iż szkoła prywatna bywa tylko dla zamożniejszych przystępną, istnieją jeszcze inne ważniejsze szkopyły, które do pewnego stopnia kwestyonują rezultat ich wychowania.

Oto prywatne zakłady nie są równouprawnione z publicznymi, przez rząd utrzymywanymi; obecnie mają zająć pewne zmiany i ułatwienia przechodzeniu uczniów ze szkół prywatnych do rządowych, ale i teraz warunek jeden, moim zdaniem najważniejszy, zahamuje sprawę na drodze do zupełnej reformy.

Oprócz wymaganych formalności organizacyjnych, trzeba, aby utrzymujący zakłady naukowe i wychowawcze składali kaucyją w kwocie 50,000 rs., jeżeli chcą uzyskać dla swojej instytucji przywileje równouprawnienia.

Sumka to wcale pokaźna, a śmiem powątpiewać, czy który z naszych najzamożniejszych pedagogów rozporządza takim znacznym kapitałem, aby go mógł złożyć na żądany depozyt.

Mogłoby tedy wszystko być nieźle, gdyby mogło—być lepiej.

Mimo wszystko żądza oświaty u nas wzrasta z każdym rokiem; zapewniamy, iż nigdy jeszcze tylu włościan nie oddawało dzieci swych do szkół publicznych, co w roku bieżącym.

Świadczy to pomyślnie o rozwijającym się u ludu naszego instynkcie do światła, zrozumieniu i poszanowaniu wartości i przewagi inteligencji, a wreszcie o zaniechaniu wstrętu do książki i wszelkiego druku.

Opowiadano mi o pewnym włościaninie, który kształcił syna swojego w szkołach warszawskich z tem wszelako postanowieniem, by chłopak po skończeniu średnich studiów powrócił do roli i uprawiał ją dalej zwyczajem przodków swoich w siermiędze.

Przybędzie zatem po jakimś czasie jego rodzinnej wiosce światły gospodarz. *lumen* w gromadzie, byle go tylko zarozumiałość i chełpliwość półmędrków nie uniosła i nie zechciał się wywyższać ponad braci prostaczków.

W takich razach kwestyą pożytku praktycznego z oświeceńskich jednostek rozstrzyga wartość ich charakteru i umysłu.

Wobec ciągłych skarg na brak odpowiednich szkół dla młodzieży, podwójnie smutnem echem odbiła się wiadomość o zwinięciu dwóch większych pensjonatów w Warszawie pp. Krzywoblockiej i Budzińskiej; oba miały swoje zasługi na polu wychowania młodzieży żeńskiej, ale niestety, moralnym celem nie odpowiadały środki materalne i po latach pożytecznego istnienia bilanse zadecydowały o ich dalszym bycie.

Każdy taki, z jakichkolwiek przyczyn opuszczony, posterunek, to strata, często już nie do powetowania.

Z kwestyą oświaty łączą się bardzo ściśle kwestye moralności; pisano o tem i rozprawiano nawet u nas swojego czasu bardzo wiele, jakkolwiek sprawy ostatecznie nie rozstrzygnięto.

Bądźco bądź coraz dotkliwiej dają nam się uczuć skutki zaniedbywania obu tych kwestyi w wychowaniu młodszego pokolenia; zwiększa się u nas proletaryat maluczkich zatrwazajaco.

Włóczęgostwo Liliputów po ulicach Warszawy nietylko w dzień, ale i w nocy, staje się nową plagą miasta; ledwie to od ziemi odrosło, już się uczy zaczepiać przechodniów udaną skargą i płaczącością, wyciągać rękę po jałmużnę, kłamać dla grosika i wyzyskiwać miłosierdzie publiczne.

Mamy obecnie cały zastęp małych żebraków, kształconych przez biegłych ojców i matki do nowego... proceduru zarobkowania; nie sama nędza bywa despotyczną mistrzynią tego ebionizmu, wstrętny wyzysk i gorsząca demoralizacja nadużywają niewinności natury i czystości dusz dziecięcych.

Co wyrosnie z tych małych włóczęgów, których rodzice wypędzają dziś z domu po prośbie i groźą karą, gdyby się osmielili wrócić bez—zarobku?... Więzienia przepelniają się jeszcze bardziej zbrodniarzami, a społeczeństwo znosić będzie musiało w swem własnym łonie wyhodowanych pasożytów, nauczonych żyć z jałmużny, lub kradzieży.

Nie potrzeba chyba nikomu wskazywać złego i dowodzić jego niebezpiecznych skutków; same one się w oczy rzucają.

Policyjny rygor, jak się okazało, nie wystarcza do wytepienia demoralizacji, znajdującej ooraż więcej sprytu i przebiegłości, by się wymknąć z pod określeń prawa; potrzeba zbiorowej akcji społecznej i do tej nawołuje się już od dawna.

W ostatnich czasach znowu pojawiły się projekta, pogłoski i artykuły o towarzystwie przeciw-żebraczem, które jedynie mogłoby w znacznym stopniu złe ukroć i szerzeniu się jego zapobiedz; ale wiadomo, jak trudno i powoli organizują się u nas wszystkie assocjacje, ile sliny, języków, papieru, piór i atramentu musimy wpierw spotrzebować, zanim jakiś statut się napisze, za-  
twierdzenie uzyska, członków zwerbuj.

Zdziwiło mnie też niemało, gdy się dowiedział, że Towarzystwo Dobroczynności swojego czasu nie chciało podjąć się wykonania projektu przeciwżebraczego, do którego najwięcej miałoby attrybucyi.

— Nie jesteśmy do zajmowania się żebrakami! odpowiedziano podobno z pewnego rodzaju obrażoną dumą, jakgdyby filantropii ubliżało zajęcie się dziadami i dziadówkami i jakby w usunięciu tej plagi każdego miasta nie było wielkiej nawet zasługi moralno-obywatelskiej.

Rozumiem, że poczciwe, zacne, chętne, ale zastęła trochę żywioły, z których się składała dawniejsza i dzisiejsza jeszcze organizacja władz naszej Dobroczynności, nie miały ochoty podejmować się zadania wymagającego ruchliwej energii; nasze filantropijne pompy i maszyny należą do zbyt starej konstrukcji, pordzewiałemi kółkami i trybami po większej części się posługują.

Nie ubliża to bynajmniej trybom i kołom, że chcą oile możności służyć jeszcze sprawie publicznej, owszem—na uznanie i pochwałę zasługują, ale machina na tem nie zyskuje.

Młodsze, ruchliwsze, energiczniejsze żywioły bardzoby się przydały obok starszych; filantropia przecież nie powinna być wyłącznie zajęciem i przywilejem sędziwych emerytów.

Wracając do towarzystwa przeciw-żebraczego, sądzę, że wszystko jedno, kto się jego założeniem zajmie i na jakich warunkach; sprawa ta niema jakichś odrębnych właściwości, jest kosmopolityczną, jak nędza ludzka, jak jałmużna.

Słyszałem, że dla uniknięcia reklamy, bez rozgłosu, pocichu agituje się już ów projekt usunięcia żebraniiny z ulicy Warszawy; jeżeli nic innego, tylko skromność wymaga tej tajemnicy, to się jej dziwię, bo z czem się tu ukrywać? z tem, że się dla dobra ogółu i w interesie wspólnym pracuje?...

Zbyteczna drażliwość.

Pominąwszy kwestye odleżałe, przejdźmy do sensacyjnej kroniki ostatniego tygodnia; w wieku pesymizmu i niedowiarstwa zdarzył się fakt, który ciekawą w każdym razie zagadkę rzucił sceptykom.

Oto podczas ostatniego odpustu na Jasnej Górze cudownie uzdrowioną została kaleka od lat przeszło dziesięciu, p. Gabryela Kobylińska, córka pisarza gminnego w Łyszkowicach w pow. łowickim, poruszająca się z trudnością tylko o kulach, ze sparaliżowaną nogą lewą i wykręconą prawą.

Kalectwo to nie było niczem zakwestyonowane, potwierdziły je świadectwa lekarskie i zeznania osób wiarogodnych.

Nagle w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, wróciły sparaliżowanej dawne siły i swoboda ruchów, kaleka podniosła się z ziemi i bez kul wyszła z kościoła uzdrowiona zupełnie.

Spisano odpowiedni protokół, który pozostanie w archiwach klasztoru, kule zaś przechowano w skarbcu.

Nie mam zamiaru zastanawiać się nad tym faktem, który zarówno dla oświeconych i prostaczków przedstawia szczególniejszy temat do rozmyślań; jakkolwiek wytłómaczyć to zechcą neuropaci ze stanowiska lekarskiego poza granicami religijnej wiary, samo zdarzenie pozostanie bardzo niezwykłym i pamiętnym, wzbogacając legendę Jasnej Góry.

\* \* \*

Sezon martwy zbliża się ku końcowi.

Pierwsze jaskółki jesieni w studenckich mundurkach zjawiły się już na miejskim bruku; pierwsza na stanowisko wróciła młodzież szkolna. Powoli zaczną ściągac kuracjusze, powietrzniki, letkiewiczce i cały ten zastęp rozmaitych kategorii i nazw emigrantów Warszawy.

Najpóźniej zbierze się „towarzystwo“ i otworzą salony.

Nic dziwnego; kto może, korzysta z naszej pol-

skiej jesieni, która bywa przecież najprzyjemniejszą porą roku, wolną od wszystkich kaprysów i niespodzianek aury.

Daleko do niej jeszcze, ale bliżej już, niż dalej.

Tymczasem nudzimy się zawsze jeszcze w tem znaczeniu obszerniejszem. Jakiś korespondent do jednej z gazet gdańskich zauważył, iż Warszawianki z nudów zaczynają coraz bardziej nasładować swoich mężów i.... zawzięcie grają w karty.

Tegoby jeszcze potrzeba było, aby szulerka wkradła się i do płci pięknej!... Przypuszczam wszelako, że pan korespondent palnął głupstwo i spotwarzył nasze panie.

Kobiety u nas nudzić się nie powinny, za dużo mają do roboty, za wiele obowiązków przed nimi, aby czasu zbytek miały i musiały go zabijać kartami.

Niemiec skłamał, albo źle patrzył, a jeżeli gdzie dojrzał rzeczywiście przy zielonym stoliku partnerki modnego winta, czy preferansa, to chyba natrafił na rzadki wyjątek, anomalią dziwną, której żadna rozsądna kobieta nasładować zapewne nie zechce.

Moda, co prawda, upodobia kobiety coraz bardziej do mężczyzn pod względem powierzchowności, każe im nosić męskie kapelusze, kołnierzyki, krawaty, kamizelki, laski, monokle; ale żeby je zasadała do zielonego stolika, może jeszcze z cygarem w ustach, może przy pełnych kieliszkach—do tego chyba nie przyjdzie tak rychło. Zresztą kobiety, kiedy się nudzić zaczynają, szukają innych królów i waletów, niż malowanych, i grają w bardziej hazardowną grę, niż z asem kierowym w rękę.

Asa zastępuje wtedy najczęściej prawdziwe czy podrabiane serduszko, a stawka bywa bardziej ponętną od niejednej puli w gotówce.

Jeżeli wszelako prawdziwą jest wersya, że zarodek szulerski pokazał się w kobiecych towarzystwach, na miłość Bożą, niechże nie powstaje nowe specyalne przedsięwzięcie, które pragnie jeszcze więcej oszczędzić płci pięknej czasu i zajęcia w najważniejszych, najkłopotliwszych, ale i najmiłszych sprawach—przedślubnych.

Oto osobne konsorcjum chce w Warszawie dostarczać pannom wychodzącym za mąż całych wypraw, sukien ślubnych, bukietów, kokard, służby nawet i powozów na wesela za stosownem wynagrodzeniem.

Nie trzeba się będzie już o nic troszczyć osobicie, bo może nowe przedsięwzięcie zobowiąże się do wypraw dodawać zarazem: męża według ustanowionej taryfy, a co wieczór w panoramie optycznej na Placu Saskim między rozmaitemi reklamami w postaci mglistych obrazów ukazywać będzie publicznie kandydatów do stanu małżeńskiego w naturalnem lub fotograficznym odbiciu.

Postęp na każdym kroku, a pomysłowość w tych ciężkich czasach z gorączkową jakąś skwapliwością płodzi nowe figle i projekta, pękające jak rakiety na zabawach dzieciennych w Ogrodzie Zoologicznym.

Dowód to tylko chyba, że ludzie szukają forsownie grosza i zarobku na najmniej prawdopodobnych ryzykach, by pustkę w kieszeniach zapełnić choćby koprowiną.

Kiedy nasze domorośle głowy wysilają się na takie oryginalne i wyjątkowe projekta, praktyczniejsze mózgi obco-krajowców spekulują inaczej; Anglicy np. starają się założyć u nas wielką bydłobójnię i wywozić mięso nad Tamizę. Stepowe woły dostarczyć mają *beefsteak'ów* soczystych angielskim smakoszom. Projekt wprowadzić natrafił na pewne przeszkody, gdyż rząd niemiecki nie chce zezwolić na przewiezienie mięsa drogami żelaznymi do Hamburga, ale przedsięwzięciery mają nadzieję zwalczyć trudności i postawić na swoim.

Bardzo pięknie; nasuwa mi się tylko pytanie: dlaczego ten dobry pomysł nie przyszedł naszym hodowcom i rzeźnikom, tylko angielskim? dlaczego Anglicy mają wyciągać zyski z przedsięwzięcia, które mogłoby Polaków z bogacić taksamo, a skoro obco-krajowcy, obliczający się zwykle skrupulatnie z warunkami, wierzą w powodzenie

interessu, dla czegożbyśmy sami spróbować i zaryzykować nie mieli?

Nie spróbujemy i nie zaryzykujemy, bo nas rozumie zawsze musza uczyć inni.

Przecież dotychczas chłopci nasi ubierają się w sukmany, sprowadzane ze Szlązka, bo krawcom naszym nie przyszło do głowy postarać się o wzory i zebrać dane, gdzie najlepiej krajowy towar mógłby być spieniężony i wyrabiany.

Czuje, że mi się znowu zbiera na nudną jere-miadę, która podczas upałów usypia jeszcze bardziej, niż w zwyczajnych warunkach; odkręcam tedy korbę z ogranej katarynki i proponuję: chodźmy na „Małych muszkietarów“ do Teatru Nowego.

Tak zabawnej, eleganckiej, dowcipnej w salo-nowym stylu operetki, nie widziałem jeszcze na polskiej scenie, ale i takiej wystawy świetnej nie pokazała nam dyrekcya, która tym razem po me-ningeńsku postąpiła, otwierając hojnie swą kasę i nie oszczędzając kosztów. Wrócą się one z dużą zapewne nawiązką, bo słusznie powiedziano, że teatr jest jak krowa, — chcąc, żeby dużo mleka dawała, trzeba ją dobrze karmić i paszy nie za-lować.

Porównanie trywialne, ale trafne.

Quis

## BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

Nie pomogło zwycięztwo, ani ten trud, na któ-ry patrzyli wszyscy, ani niebezpieczeństwo, na jakie się Jan Kazimierz narażał. Zadawano mu, nie mogąc czego innego, ową miłość i preferencyą Niemców, o postępowanie szlachty, upominać się chciano.

Wprawdzie pierwszych dni po wielkiej roz-prawie nie wiodło się warchołom, bo było wiele innych do rozmowy przedmiotów, które żywiej obchodziły, ale ci, co, jak Dębicki, mieli na celu rokosz, nie zaniebdywali wszędzie wcisnąć jadu potrosze.

Radziejowski tylko, zdawszy już sprawę na przyjaciela, sam począł tymczasowo inną przy królu odegrywać rolę. Zdziwił się niepomału Strzębosz, gdy po pogrzebie Xięzkiego do króla się stawiając, znalazł przy nim z innymi i pana podkanclerzego, który bardzo głośno rozprawiał z królem i, jak przedtem, się narzucał, nie odstępując go.

Jan Kazimierz zaś tak podówczas z wiktorji odniesionej był szczęśliwym, tak rad był zgodzie i pojednaniu wszelkiemu, że nawet podkanclerzemu przystęp dawał do siebie i nie ukazywał mu tej, co przedtem niechęci. Trudno mu się wprawdzie zdobyć było na poufałość i uprzejmość, lecz znosił go, a i to już miało znaczenie. Radziejowski zaś, korzystając z tego, coraz natrętniejszym się stawał. Chociaż Strzębosz list od pani podkanclerzyny do króla przyniósł, w którym się zapewne na dołę swą i na niespra-wiedliwość ludzką uskarżać musiała — nie było w nim wiadomości szczegółowych o Warszawie i wieczorem w chwili, gdy sam był kazał król Strzębosza przywołać: zapytał go: co się działo z podkanclerzyną?

— N. Panie — odparł Dyzma — widziałem ją dwa razy, nieszczęśliwa jest bardzo. Nie wiem co zamierza, bom się dopytywać nie śmiał, alem widział w pałacu przygotowania do podróży, albo raczej do przenosin, bo co było kosztowniejszego, nawet do przyozdobienia ścian służącego, wszystko już pościągano i pakowano. Jeżeli się nie myślę, bracia też podkanclerzyny albo przy-

najmniej jeden się przy niej znajdować musiał. Król słuchał tylko.

— Wiem i o tem — dodał Strzębosz — iż Królowa J. Mosć, zapewne nie z własnego usposobienia, ale listami p. Radziejowskiego pobudzona, niechętną się dla p. podkanclerzyny okazywała, co i inne panie musiało również odstręczać.

Wysłuchawszy tej powieści, król znowu o Maryą Ludwikę zagadnął, i o zamku sobie a dworze jej mówić kazał, tak, że Dyzma się ośmielił w końcu i o Bertoni wspomnieć. Poskarżył się na nią, że córkę zmuszała do starego Massalskiego, którego nazwisko usłyszawszy, król ramionami rzucił, i gdyby był mógł naówczas, rozśmiał-by się, ale nadto smutków mu na duszę ciążyło. Mruknął tylko, że baba szaloną była równie jak stary gach, który już ostatkami życia i mienia gonil.

— Nie będzie z tych ślubowin nic — dodał król — bo rodzinę znam, nie dopuści ona, aby się kniaziewstwo ich skaziło mieszczańskim związkiem, bo ono ich całe bogactwo stanowi.

Byłby może rad król postaremu rozerwał się płochą z dawnym dworzaniem rozmową, lecz mu nie dano jej długo przeciągać.

Przychodzili nieustający z językami towarzy-sze, którzy wiedzieli, że król hojnie płacił za każdą wieść, i ciągle jeńców mu przyprowadzali.

Ale z tych sprzecznych zeznań nie bardzo kto mógł być mędrszym, bo pochwytni albo mało-co sami wiedzieli lub ze strachu pletli, co ślina do ust przyniosła, albo się wykupić usiłowali, zmyślając.

Wedle jednych więc, Kozaków było trzydzieści tysięcy; drudzy ich podawali na sześćdziesiąt; inni o nadciągających wiedzieli, niektórzy powiadali o niezgodzie a niechęci pospólstwa ku dowódczom Dziedziała i Bohunowi. Chmiela też jedni przy wojsku, drudzy przy Hanie widzieli, a każdy na klęczkach gotów był przysięgać, iż prawdę świętą mówił, a z tego wszystkiego nie pewnego wyciągnąć nie było można.

Król jedno wraz ze starym Jeremim powta-rzał: — Trzeba dokonać co się szczęśliwie poczęło, a nie zasypiać, bo zwycięztwo, acz wielkie, wcale kozackiej rebelji zamknąć i przełamać nie mogło.

Wiśniowiecki przepowiadał zawczasu, że gdy ściśnięci się uczują Kozacy, znowu się z pokorą o przebaczenie udadzą do króla, raz spróbowa-wszy, iż klemencyą jego łatwo pozyskać było, ale ostrzegał, aby król pobłażliwym się nie okazał znowu, a surowsze postawił warunki.

Chciał zaraz Jan Kazimierz do królowej śtać z doniesieniem o wiktorji tegożsamego Strzębo-sza, ale dla pogrzebu Xięzkiego się wstrzymał — i dwu innych posłów natychmiast wyprawił.

Wiadomość i bez tego dojsz prędko musiała, bo ją, można było rzec, wiatr niósł z sobą, a ran-nych wielu do domów uwolniono, którzy się na wszystkie rozpierzchli strony.

Pospolite ruszenie nawet owo zwycięztwo wię-kszym czyniło, niż było w istocie, aby corychlej do domów na kosowicę i żniwa mogło powracać, a Dębicki podbudzał je, bo wiedział, iż królowi niczem więcej dokuczyć nie mógł, jak groźbą, iż szlachta go opuści, gdy korzystać było potrzeba z popłochu. Radziejowski zaś ufał sobie, że co Dębicki umyślnie zawichrzy, to on wymową swą i wpływem naprawi i uspokoi, aby u króla tem zaufanie i wpływ pozyskać.

Tak na nieoschłem jeszcze pobojuwisku, gdy co lepszego było, rwało się do wojny, niepocti-we umysły już gotowały zamęt, aby z niego mogły korzystać.

Niemal codziennie straszono powrotem Tata-rów z nową siłą Chmielnickiego, lecz się to nie sprawdzało. Tymczasem co się miano naprzód po-suwać — obóz leżał wciąż nieporuszony w miejscu.

### VII.

Wściekle bronili się w swych okopach Kozacy, — niemal codziennie nawet to wpierwospa, to nocą, to rankami napadając na nieopatrznych a bli-

żej obozujących kwarcianych i pułki polskie. Udało się im tą czujnością kilkakroć srodze dać we znaki królewskim, a zuchwałstwo tej garści niektórym ducha odbierało.

Jeremi i Lanckoroński chcieli od pierwszego dnia całą siłą na to osie gniazdo uderzyć, obejsć je i Kozaków wytepić do nogi, bo się im z pomiędzy błot nad Pleśnią i Styrem ratować ucieczką było trudno — ale wojsko zużone wołało: — Weźmiemy ich głodem... po co ludzkie żywoty wazyć?

Od szlachty, którą warchoły już obalamu-ciły, szło zniechęcenie do boju i wołanie, aby tej wojnie koniec położyć. Po obozie snuli się narzekają-cy głośno na króla i hetmanów, że równo z Kozactwem chcą szlachtę wygubić, morząc ją głodem w polu.

Napróżno król zaklinał, ukazując, że nie uczyniono nic, dopóki się Kozactwa nie zmusiło do zupełnego zdania się na łaskę, że Chmiel z Tatarami, jak był, tak jest groźny; próżno Jeremi wołał, aby następować, niedając czasu chłopstwu znowu się zwołać i zarejestrować. Szlachta z Dębickim krzyczała, aby koło zwołać, króla do koła stawić i pospolite ruszenie rozpuścić.

Dębicki z Radziejowskim puścili między krzy-kaczy, że prawo nie dozwalało szlachcie nad dwa miesiące trzymać zwołanej, albo ją król powinien był płacić lub rozpuścić. Coraz hałaśliwiej i wrzawliwiej powtarzano:

— Do domów... niech król ze swymi Niemcami wojuje. Są piechoty, są kwarciani i komputowi, i bez nas tym chłopom rady dadzą.

Z początku ciche te głosy, coraz teraz śmielej i huczniej się podnosiły.

Z małych kupek tych malkontentów rosły gro-mady. Objeżdżającemu wojska królowi podstępowały prawie pod ręce wywołując swe grawa-mina. Król słuchając bladł, na swoich towarzy-szów spoglądał, w niebo oczy podnosił.

Wszyscy starzy żołnierze widzieli, jak na dło-ni, że wszelka korzyść krwawego zwycięztwa straconą będzie, jeżeli się wnet za rozpędzonym Kozactwem nie pogoni i nie dokona, co się poczęło. Naprzód trzeba było iść całą siłą, a raz na zawsze rebelii byłby koniec.

A no, szlachcie było już tego dosyć.

— Do domów! — powtarzali jak hasło. — Król niema prawa nas trzymać; koło zwołać: niech posłucha, a my mu powiemy i pokażemy, co szlachta znaczy! Myśmy nie żołdacy płatni, nami rzucać nie może według woli.

Kazimirski z jednej, Snarski z drugiej strony po obozie się nosili z podżeganiem, a Dębicki zwoływał codziennie na sandomirski bigos do sie-bie. Kto mu go dostarczał i tych beczek, które tam wypróżniano hałasując, było niezrozumiałem dla wielu, bo podczaszego nie stać było na takie traktamenta, a tu codziennie stoły zastawiano i kubki nalewano.

Tymczasem pułki panów, regimenta królewskie, co było żołnierza kwarcianego, dotych okopów się codziennie dobijało, w których Dziedziała i Bohun, jakby na posiłki czekając, bronili się zacię-cie. Dosięgały ich tam działa, udawało się cza-sem wycieczkę pochwytać, przywlekały się zbiegi, ale Kozactwa większość do upadłego się odstrze-liwała i odcinała.

Głodem wziąć ich było trudno, bo mieli wyjście i z okolicy, wypadając, do okopów żywność ściągali. Dzień i noc wrzało tam ciągle.

Nie przestawano też naciskać ich, choć dotąd bez skutku. Dopiero po kilku dniach; poczęli wołać, aby posłów ich do króla puszczono.

Jan Kazimierz kazał ich przyprowadzić. Bili czołem przed nim, śpiewając tężsamą, co niegdys piosenkę, winę składając na Polaków. Chcieli teraz do zborowskich wrócić traktatów; odpowiadano postom, że zapóźno przychodzili z pokorą: zażądał król wydania Chmiela i dowódców buntu, a poddania się zupełnego Rzeczypospolitej.

Jeremi, który ich znał, rzekł zrazu, że tylko na czasie zyskać chcieli, skłaniając się do umowy, bo pewnie posiłków oczekiwali.

— Spisywać z nimi umów nie zdało się na nic: zmóźdz trzeba aż przyjmą to, co będą musieli; nie my ich, oni nas słuchać powinni.

Tymczasem Lanckoroński po naradzie z Jeremim, przeprawiwszy się przez rzekę z tyłu okopy szedł zajmować, ale Bohun czuwał. Byłby nawet może uszedł niepostrzeżony, gdyby Mazury, w pole wyszedłszy dla obliczenia się, niepostrzegali już uchodzącego Kozactwa i nie dali wojsku znać. Dopieroż zatrąbiono i rzucili się wszyscy razem na wyciągających z okopów, tak, że ich w błota i grzęzawiska wpędziwszy z wzami, poczęli tępić i sieć okrutnie. Zdało się, że ich tam noga nie ujdzie, chociaż główne pułki Bohun przodem wysadziwszy, uciekał z niemi.

Reszta pospólstwa zostawionego w okopach, strasznym popłochem zjęta, jak stała, nie mając już czasu niczabrać ze sobą, wybiegła, rozlażąc się na zarośla i błota, tak, że w obozie żywej nie pozostało duszy.

Nie śmiało jednak wojsko zająć go aż się przekonało, że zasadzki nie było. Dopiero wtargnęli Polacy do opuszczonego gniazda, którego widok grozą przejmował.

Wszystko tu tak zastali, jak przed chwilą jeszcze Kozactwo rozgospodarowało. U okopów samych naprzód leżeli, jęcząc, niepodobijani Polacy, z rękami i nogami poobcinanymi, ze skóry poobdzierani, jak bydłeta połupieni i porąbani, niektórym wnętrzości powydzierano, innym oczy wydarto. Więc ból srogi przejął żołnierzy tak, że nikomu też życia nie dali, kogo po zakątkach znaleźli, wycinali w pień.

W szalasach i budach jeszcze stało wszystko, jak chłopstwo odbiegło. Dymyły nieopagaste ogniska, a przy nich w garnkach barszcze, kisiele, sałamaczy i wszelkie ich jadła ulubione.

Z łupu zresztą niewielka była pociecha, bo na wozach rzemień, siermięgi, wory, oponcze, kożuchy z czarnych bierok, koszule, płachty i zapaski, więcej nic. Broni tylko wszelakiej moc się znalazła, samych dział sześćdziesiąt, pół-kartanów osmnaście, siła kobylic i haków; a co najdroższa, Chmielnickiego klejnoty, chorągwie przez królów Władysława i Kazimierza posłane, miecz od patryarchy z Konstantynopola, buńczuki, pieczęcie i szkatuła z papierami różnemi.

W pośrodku natrafiono też trupa starszego ich kapłana w stroju biskupim, z pastorałem i infułą, którego król pochować kazał w cerkwi poblizkiej.

Część wojska puściła się dalej w pogon za uchodzącym Bohunem, a królowi łupy przyniesione i wiadomość o tem nowem zwycięstwie, za które wszyscy z nim, padłszy na kolana, Bogu dzięki czynili. Radość Jana Kazimierza aż niemal do łez go poruszyła, ale stary żołnierz wołał, że teraz więcej, niż kiedy trzeba było następować i z pogromu, a trwogi korzystać.

Gdy pisarze królewscy z Otwinowskim ową szkatułę hetmańską odbiwszy, do papierów kozackich się dobrali przy kanclerzu Leszczyńskim, zdumienie wszystkich ogarnęło wielkie.

Listy królewskie, przywileje, tureckie fermany, tatarskie karty, moskiewskie pisma, cesarskie, niczem były obok tych doniesień i raportów, jakie się tu znalazły. Miał Chmielnicki swoich wszędzie, którzy mu nietylko, co się na dworze króla i na pokojach mówiło, przesyłali; ale miał takiesame doniesienia ze wszech stron, z Wiednia nawet i Rzymu.

Poznali ci, co wierzyć temu dotąd nie chcieli, iż on, prostaka udający, człek, który pijanym się czynił, nic nie rozumiejącym, a chłopstwem się przyodziewał, jak maską, chytrzejszym daleko był, niż ci, co z nim mieli do czynienia.

— Polityką go zażywać — rzekł biskup — nie pora, bo on w niej bystrzejszym jest, niż my może; orężem trzeba pokonać, inaczej nigdy z nim końca nie będzie.

Opiewano zwycięstwo, a złym ono było najmilsze, bo je zaraz tegoż wieczoru spożytkowali.

Roilo się pod namiotami Dębickiego, u Kazimierskiego i innych naczelników szlacheckiej zwoły, a jedno hasło brzmiało wszędzie:

— *Finis laborum!* do domów! do domów. Niech hetmani kiedy chcą z komputowymi ich ścigają, my nie pójdziemy.

— Nie pójdziemy! — powtarzała szlachta —

mamy dosyć: Kozactwo pobite. Nauka nie pójdzie w las, a myśmy się dosyć wycieńczyli dla Rzeczypospolitej.

— Do domów!

Królowi z początku nie donoszą o tem, aby mu radości dnia tego nie psować, ale nazajutrz pierwszy podkanclerzy się zjawił po mszy w królewskim namiocie. Zasłyszawszy, iż Jan Kazimierz ciągnąć chciał, co najspieszniej za uchodzącymi — wtrącił z kompassą niby dla króla.

— N. Panie, próżno to o tem mówić na razie, dopóki się szlachty nie uspokoi, od wczora już tam między nią wre na gwałt do domów powracać.

Król się zachnął oburzony.

— Jako? — zawołał — i mnie, wodza a króla, mieliby porzucić i odbieżeć? Nie wierzę, aby Polska szlachta do tego zdolną była.

Westchnął z kondolescencyą Radziejowski.

— Nie mówię — rzekł — aby to mieli uczynić, bo z nimi trzeba umieć poczynać, to się ich poprowadzi, gdzie się zażąda; ale dziś takie hasło — do domów.

Jadąc obozu od pospolitego ruszenia sandomirskiego; po drodze nic nie słyszałem, tylko wołanie — do domów.

Poczęli się schodzić inni senatorowie, wszedł biskup Leszczyński, Jan Kazimierz się do nich zwrócił.

— Posłuchajcie, co pan podkanclerzy przynosi — rzekł — wierzyć-bym nie rad, aby mnie w sztychu porzucić miano.

Ksiązę Dominik Zasławski, który tylko co wszedł do namiotu, odezwał się ponuro:

— Dziś wszystkiemu złemu wierzyć można. Słyszałem i ja, na co się zanoszą, albo się to da odeprzeć... albo...

Poruszył ramionami nie kończąc.

— Więc w niwecz nasze zwycięstwo tak drogo opłacone! — zawołał król.

Milczeli wszyscy, wtem Radziejowski począł:

— Nie pochlebiam ja sobie, ale siła szlachty znam, która mi wierzy i słucha mnie. Gotówem służyć według możności, umysł się może dać nawrócić.

— Czyż-że to, panie podkanclerzy — wtrącił biskup Leszczyński — toć powinność wasza, a nieociągaj się, bo złe zarazliwe jest.

Wszedł do namiotu Lubomirski szepejąc na ucho Kalinowskiemu hemanowi tężsamą nowinę, że się szlachta zwoływała.

— Niema już tajemnicy w tem — odparł Kalinowski — dawno się na to zbierało, a zli ludzie nie wiem w jakim celu, wcześniej szlachcie opór poddmuchiwali.

Zasepiły się czoła wszystkim. Stał król zadumany o stół się oparłszy, a po chwili podniósł głowę.

— Nie daję wiary! — zawołał. — U nas tak bywało zawsze i bodaj na wieki pozostanie, że się znajdzie opór przeciwko każdej sprawie, a *veto* musi ktoś zawołać, ale go przecie zagłuszamy i poczciwi nie dadzą tryumfować warcholom.

— Tak - by być powinno — przerwał Leszczyński — ale nie zawsze się tak dzieje, bo najgorsze gęby najgłośniej krzyczą, a kto się bije najlepiej i kraj najmocniej kocha, ten milczy.

Radziejowski kręcił się niecierpliwie.

— Jeżeli publicznie z tem wystąpią, będziemy się starali też wołać głośno... i przekrzywić ich...

— Jeżeli wystąpią — przerwał Lanckoroński ależ posłuchajcie, iż się już wazą o kole mówić i króla chcą przed nie stawić, a wybierają śmielszych, co z tem przyjsć mają do majestatu i domagać się.

Wszyscy przytomni, dla których owo koło w pospolitem ruszeniu równało się rokoszowi, niemal przerażeni, milcząc, spoglądali po sobie. Król jeden najmniej się tą wiadomością okazał poruszonym.

— Koło? — rzekł — a choćby i koło zwołać chcieli? Jeżeli mnie o zezwolenie pytać będą — nie wzbronię pewnie. Bóg z nimi, nie uczyniłem nic, za cobym przed Bogiem, sumieniem i narodem obawiał się odpowiadać...

Niech sądzą w kole.

— N. Panie — rzekł kanclerz — nikt z nas nie myśli inaczej: a przecie temu kołu przeciwnym-bym był, nie dla obawy, ale dla czci majestatu, której ono uwłacza.

Są przecie osoby i mężowie, których ani posądzać ni sędzić tłumowi nie wolno. Przed Bogiem oni, ale nie przed kołem odpowiadają.

— Poszanowanie majestatu — cicho odparł król — dawno się u nas zwiodło i już pono nie odrodzi... Niech zwołują koło, kiedy chcą.

W tej niepewności, gdy drudzy milczeli i szepotali, Radziejowski się odezwał znowu:

— Nie idzie tu o żadne inne grawamina, bo to wszystko daremne i tylko dla oczyszczenia się podnoszone głosy... Szlachta do domów chce, więcej nic... to jej z głowy wybić potrzeba...

— Nie bawiac więc kto może i czuje się na siłach — rzekł Leszczyński — powinien tę usługę oddać Rzeczypospolitej i królowi. Nie będziemy się mogli pochłubić wiktoryą, gdy ją nawpół ledwie poczętą, porzucimy, aby zmarniała...

— Szlachta woła — rzekł Lanckoroński — iż Kozactwo już głowy nie podniesie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Sierpniu 1886 r.

Wiedeń w lecie. — Neuberg — Styryjskie Zakopane. Uroczystość ludowa. — Bohater Styryjski.

? Wiedeń w lecie nie istnieje, to znaczy, że kto mógł wyjechać, teatru zamknięte, a kto przyjeżdża, zatrzymuje się jaknajkrócej. W 4 do 5 dni można zwiedzić wszystkie osobliwości miasta i okolicy, wieczorem się nudzić, opłacić się niesłychanie drogo w hotelu i trzeba uciekać. A przecie Wiedeń nie śpi, pracuje, przeobraża się. Ulice się rozszerzają, przybywają i gmachy nowe; t. z. „interesa“, lokale handlowe starają się przybrać nową postać, którzy przecie cudzoziemca wabiła. Więc jest nareszcie na placu Sw. Szczepana już jeden gmach jasno oświetlony do północy i wygląda, jak transparent wśród otaczających go ciemności i pustek. W gmachu tym krawiec — przepraszam — fabryka kufekcyj męskich, sklep z bielizną i cukiernie. Więc na Kärntnerstrasse powstał wiedeński Palais Royal, wiedeński Louvre, tak je nazwano. Sklepy, wystawy, oświetlenie elektryczne wytworne, ale to nie całe gmachy, jak owe magazyny paryżkie. Przybyły i inne sklepy godne Paryża i Londynu, a wszystko modeluje się według zagranicznych wzorów. Wiedeńczycy się gapią, mało kupują, niedowierzają tym splendorom, wołają sklepiki stare, ukryte, taksamo, jak knajpy ciemne, duszne, t. z. bayrle, niż nowe, elektryczne kawiarnie, które ich żenują. Cudzoziemców zaś, jak nie było tak niema. Dopóki ta stolica nie będzie mieć stołecznej, jednolitej ludności, któraby jej wystarczała i bez obcych, a zarazem posiadała znamiona stolicy żywej i wygodnej dla obcych, tak długo Wiedeń będzie polityczną stolicą państwa, siedliskiem mnóstwa wielkich i piękných rzeczy, ale nie będzie żywą, europejską stolicą. Nie pomogą towarzystwa dla podniesienia ruchu przejezdnych, gości i t. p. Trzeba się najpierw samemu ruszać i rzucić skórę małomiasteczkową, tradycyjną, nie wystarczy chcieć się patrzeć, jak się inni ruszają i chcieć tylko w ich kieszenie zaglądać: więc uciekajmy od kurzu wapienego i rozpalonych murów i trotuarów. Jest gdzie uciekać; sliczne-bo kraje składają to państwo; niemal każdy z nich mógłby być celem podróży, wycieczek, pobytu przez lato, np. Czechy, Morawy, a cóż dopiero Tyrol, Styrya, Karyntya... tylko, że nie wszędzie jest gdzie mieszkać. Co do Czech i Czechów warto zauważyć, że nareszcie spostrzegli się, iż mają w domu wspaniałe góry i lasy i wody i już też letnicy czescy przeważnie do krajowych miejscowości wyjeżdżają.

ją. Wielka ztąd korzyść i materyalne dla kraju, jeżeli się nie wywozi grosza, a większa jeszcze moralna z obcowania miast ze wsią.... Dla demonstracyi na przykładzie, jak to wygląda tu i ówdzie w tem państwie, zrobmy małą wycieczkę do Styryi. W 4 godzidy, minawszy Semmering stajemy w Neuberg — 740 m. nad poziomem morza. Jest to wieś, otoczona górami, prawdziwymi Alpami: Schnealpe, Lachalpe, Robenstein, zpoza nich wychyla się olbrzymia Rax. Wieś ta, na szczęście, nie udaje jeszcze miasta, niema ulic domy porozrzucane w dolinie i po górach. Były to niegdyś dobra klasztorne, więc pozostały dwa stare kościoły, wielki gmach klasztorny, w którym szkoła, apteka i mieszkania coznaczniejszych osób, z jednej strony wsi łowiecki domek cesarza z drugiej nad rzeką huty żelazne stali, walcownie. A ta rzeka to Mürz pełna pstrągów, która szumi po głazach i wśród głazów, rozprowadzona do młynów i tartaków, a co krok prawie urządzone wodospady żeby zwiększyć bieg i siłę wydy, która przecież z gliczerów płynie i zasilana jest setkami dzikich wód. Cała okolica i życie w niej podobne nieco do tyrolskiego, warunkowane jest dwoma okolicznościami: naturą Alp i istnieniem hut. Chłopi w okręgu dwóch mil to albo robotnicy z hut albo woźnice, dowożący do hut rudę i węgiel. Więc mają cały rok zarobek w hutach, a równocześnie własne gospodarstwo. Są i zwykli robotnicy, a ci mieszkają we wspólnych domach. Więc chłop każdy ma domek, prawie zawsze piętrowy, stajnie, szopy, krowy, kozy, drób, świnię, pastwiska, rolę, a nierazko i kawałek lasu. Kobiety i dzieci pracują koło gospodarstwa, mężczyźni, ojcowie i synowie w hutach, a co drugi dzień i wieczorami, także około gospodarstwa. Tym sposobem lud ten ma się dobrze, jest swobodny, spokojny i uczciwy. Można powiedzieć że kraj płynie mlekiem i miodem, jest tu bogactwa dużo, do którego nawet nikt ręki nie przykłada. Nie mają np. wcale wyrobu serów, owiec wcale nie doją, podchowane jagnięta spożywają, a mleko zsiadłe spasają drobiem, albo nierogacizną. W tych Alpach gleba urodzajna, gruba warstwa humusu, nie tak jałowo, nie tak dziko, jak w Tatrach, gdzie owsik rzadko plon daje. Tutaj paszy wbród, żyto pełne i wysokie, jarzyny sliżne. Tam dobrobyt znać i porządek Izby i sprząty czyszcutki, w oknach białe franki i kwiaty, nierazko maszyna do szycia. Styryjczyk lubi swój dom i swoje góry. Karczmy zajazdy, są dla podróżnych. Styryjczycy wieczorem siedzą w domu, śpiewają, jedzą razem wieczorem: zupę mleczną i sztercel, kluski na szmalcu, cały dom mówi razem, głośno pacierz i idą spać, żeby rychło świt znowu wstać każde do swojej roboty. W niedzielę i święta zbierają się na strzelnicy, tam wygrywają nagrody np. wypchane puchaczki, tam pokrzepiają się piwem, lub winem, ale o bijatykach i pijaństwie nie słyhać. A młodzież obojej płci całymi gromadami wybiera się od czasu do czasu na szczyty i na polany po szczytach, gdzie przez lato bydło się pasie. Wychodzą przed wschodem słońca, cieszą się górami i widokami, śpiewają i wracają na noc. Więc też dla siebie i dla bydła robią wszędzie drogi, ścieżki, serpentyny. Wszystkie góry i lasy naokoło, to parki wygodne, pełno łąwek, źródełek, a poziomeki, borówek, malin, grzybów olbrzymów moc niezmierna. Chodzą tam dziewczęta z pleciami koszami przez całe lato i obrywają jagody drewnianymi grabkami, hurtownie, idzie to bardzo prędko. W całej okolicy niema rogatek, niema zebra, go podarstwa nie pozamykann, ubiór jeden, czy to chłop czy urzędnik, czy doktor, kurtka bura, kapełusik z piórkiem, wszystko zielono obszyte, spodnie opięte, ciżmy. Dla letników jest tu pobyt arcyprzyjemny, jeżeli tego pragną, co powyżej określiłem. Mieszkanca schludne, mebelki wygodne, łóżka z pościelą i bielizną, a na szczęście jeszcze Wiedeń nie zalet tej miejscowości. Jeszcze to jest tylko cel wycieczek dla turystów przelotnych, a letników mieszka jakie 30 rodzin, i niema mieszkań na więcej. Lecz trzeba prowadzić własną kuchnię, co nie łatwo przychodzi. W zajazdach, hotelach—jest ich z dziesięć—po-

koje czyste, ale jedzenie, jak wogóle w Austrii, niemożliwe. A prowadząc kuchnię, do której naczynia wszelkie się dostaje, trzeba samemu pożywienie wyszukiwać, mleko idealne, masło z hali przynoszą, lub robi się w domu, jagód moc nieprzebrana, chleb zwykle gospodynie pieką; ale zresztą to trzeba chodzić po wsi jednej i drugiej, lasami, górami, za jarami, za drobiem, prosić, żeby sprzedali i przynosili. Ale to zabawne i ot po drodze, boć nikt w domu nie wysiedzi. Chodzi się po ośm godzin na dzień i jeszcze mało. Wycieczki bliższe i dalsze, słynna do Mürzsteg i Todtes Weil, gdzie z wysokiej prostopadłej skały kaskada do Mürzy spada, a wychodzi z długiej głębokiej u góry w skałę gardzieli. Zkąd płynie nikt nie wie, taksamo i tego, dlaczego ten wodospad nazywa się martwą kobietą. Trzeba sobie samemu usnuć legendę. Najdalsza wycieczka wiedzie do słynnego odpustowego miejsca Mariazell; codziennie ciągną tam pątnicy. Bliżej zaś jest oryginalny wązów, wyżłobiony wśród skał przez wodę Tiroleigraben. Dróżka nad wodą pędząca, a po obu stronach strome skały, łożysko zawałone gałęziami.

Gdziekolwiek się zajdzie do chaty, wszędzie widok przyjemny, czysto,—zasobnie, siedzą w domu. W zimie musi tu być wszędzie straszno, ale wspaniale. Oni sobie nie krzywdują, drzewa na opał mają dosyć, paszy na zimę nagromadzili pełne szopy, dróżki wśród śniegu do kościoła prowadzą krótsze; masło topione i szmaliec wieprzowy zapełnia w piwnicach wielkie faski— a odchowana gadzina i mięsa dostarcza. Owoców nie mają, ledwie wiśnie w Sierpniu — ale mają pszczoły, a płótno ze lnu, jak w Zakopanem, suszy się na słońcu, tylko, że nie rozciągają go na ziemi, ale na przęsłach drewnianych i polewają. Ot przyszło mi na myśl Zakopane—porównanie zbyt jest bolesne, choć Zakopane, to jeszcze oaza i eldorado u nas. Ale dziwna rzecz; jak w całej Styryi tak i tutaj wiele kalek, t. j. idyotów, niemowli, a kobiety zwykle dostają gardzieli w późniejszym wieku — jak u nas cały lud koło Czchowa. Zkąd to pochodzi? nikt nie wie. Mówią, że z wody. Piją tylko alpejską, źródlaną wodę, do każdego domu prawie i po drodze do studzienek prowadzą wszędzie wodociągi, rurami drewnianymi. Myślały kto, że gardzieli powstają z wołania, z hukania, że ci ludzie szum wichrów i wód muszą pokonywać. Ale gdzież tam: wogóle mówią cicho, nazbyt delikatnie, a mężczyźni, którzy jodłują, nie dostają gardzieli. To jodłowanie to muzyka gór i lasów, a świąteczna: w ciągu tygodnia mało słyhać; ale w Niedzielę i święta młodzież spieszy na góry, w lasy, na pojedynkę, a kiedy śpiewa, huczy, jodłuje, odpowiadają sobie, czasem się zejną razem, więc duet lub tercet, a przerywa je śmiech wesoły, pusty. Po co ludzie wymyślili miasta, te rozpalone piece, te mołochy? Czemu nie mieszkają w małych osadach wśród gór i lasów. Byliby zdrowsi, a o wiele lepsi! Nie zadziwi was ten wykrzyknik od kogoś w Sierpniu z Alp musiał wrócić do Wiednia, więc kiedy już piszę do was, to niechże się i pożale.

Z sierpniowych dziejów Wiednia godzi się zapisać jeszcze prawdziwie ludową uroczystość, z jaką obchodzono w Praterze dzień urodzin cesarza. Cały park illuminiowany, tłumy z lampionami, a tłumy dochodzące do 300.000; kapeli wojskowych czterdzieści, a prywatnych kilkadziesiąt, rozrywek mnóstwo, tańce, śpiewy—ogólna radość... A wśród tej ochoty i radości zdarzył się wypadek, który kronika miasta zapisze — i który po latach przejdzie w legendę, nie do wiary.

Pircher, Styryjczyk, robotnik poźlotniczy, który pracował już na dachach z górą stu wieży, postanowił sobie na urodziny „zrobić cesarzowi przyjemność i uczyć go.“ Sprawił sobie ogromną chorągiew czarnożółtą i w nocy zatknął ją na wieży katedry Św. Szczepana. Ale jak tego dokonał? do połowy wieży piął się po drucie od gronu, dokąd drut szedł po zewnętrznym murze; potem wieszal się i wspinał po godyckiej ornamentyce tumu, po rozetach, krabach, a gdzie nie dało się, gdzie było dwa metry gładkiej ściany, zarzucił sznurek na ogon kamiennego orła i po-

sznurze się podniósł. Na szczycie usiadł na krzyżu, przywiązał się umocował chorągiew—wszystko to trwało 45 minut. Potem wrócił tąsamą drogą, lubo z trudnościami nierównie większemi. Na dole czekały już tłumy ludu—lubo była to 2 ga godzina w nocy — straż pożarna rozciągnęła ratunkowe płótno, ale on ręką tylko machnął i swoją zeszedł. Niezwykłego turystę zaprowadzono do władzy policyjnej, musiano sprawdzić co to było. Szedł boso — gdyż po drodze na dachu, 435 stóp nad ziemią, zostawił obuwię, bo mu przeszkadzało.

Głęboko się czuł dotkniętym przez to wdanie się władz. Bo o co? wszak on tylko cesarzowi chciał zrobić przyjemność. Lecz na drugi dzień i ciągle jeszcze rozbrzmiewa Wiedeń jego sławę. Nazwano go najwyższym patriotą. Cały Wiedeń odwiedza go; arcyksiążę następca tronu mu podziękował przez swojego adjutanta; sypią się składki w odzieży, w pieniądzach dla bohatera, który radby się ukryć, zenuje się i dziwi go, czemu inni się dziwią. Czyn ten jest symptomatycznym i jeszcze tutaj ludność nie jest przegryzioną przez negacyą; na takim przywiązaniu dziecięcym można budować. Pircher, to nie wyjątek—ale też i nie Wiedeńczyk.

Z prowincyi przed sześciu tygodniami przybył, ale cały Wiedeń szczerze odczuł jego intencyą!

## BADACZE ŚWIATA PODZIEMNEGO.

Podróżny, wysiadłszy z wagonu kolei żelaznej na stacyi Dirasza na Karście, ma przed sobą równinę ciągnącą się blisko trzy kwadransy drogi. Ani śladu morza lub górzystych dekoracyi. Gdy po trzech kwadransach znajdzie się w wiosce zwanej Matun, przewodnik zwróci uwagę jego na otwór w ście i zachęci do wejścia przezeń.

Bynajmniej nie jest przesadzonem twierdzenie, że nigdzie w Alpach zdumienie z taką potęgą nie ovlada jak tutaj.

Kto się zbliża do wielkich i dzikich scen górskiej przyrody, nastraja się do nich powoli. Tu nagły rzut oka w świat podziemny jest niespodzianką. Oko przywykło do widoku równiny, a okropności rozdartej kory ziemskiej, nocy wyzierającej z przepaści, i ryku tajemniczych wód, jawią się znienacka. Naraz ziemi zabrakło. Wędrowiec z dreszczem spostrzeża, że szedł po przepaści.

Uczucie niepokoju zwiększa się pod wpływem szumu rzeki tryskającej z otchłani. Trudno się zdobyć na odwagę sięgnięcia wzrokiem aż do dna. Przewodnik ciska ciężki kamień, który spada, zakreślając linią łukową. Dobra chwila upływa, zanim łoskot obwieści uderzenie kamienia o dno skaliste w niewidzialnej głębi. Podróżny oddala się odurzony, i uszedłszy kilkanaście kroków, ma przed sobą kościółek św. Kantyana.

Teraz już wie, że się znajduje wobec niezwykłych zjawisk przyrody. Tu w rzeczy samej ogląda okrągły potężny lejek w skałe wydrążony, na 150 metrów głęboki, z którego czeluści dochodzi odgłos grzmotu. To fale dają w krainę nocy, pędząc przez czarny portyk 30 do 40 metrów wysoki.

Cóż to za rzeka niktąca w przepaści? To Rjeka, która dalej ku Wschodowi, za Tryjestem, nagle wytryska znowu z rozpadliny skalistej i dąży do morza, jako święty Timarus opiewany przez rzymskich poetów, Timarus, którego pamięć sięga wyprawy Argonautów i ucieczki trockiego Diomedesa.

Tak więc potężna rzeka przez wielki portyk wchodzi w krainę cieniów, a inna wielka rzeka, o 40 kilometrów na wschód ztamtąd, jawia się i po krótkim już biegu ze słonemi falami się łączy. Wyobraźnią ludzką zajmowało zjawisko to po wszystkie czasy. Wciąż nasuwało się pytanie: jaki jest bieg tej rzeki w podziemiach? Czy istotnie Timarus nie czem innym jest, jak właśnie Rjeka? Jak wyglądają sklepienia, sale i krużganki, przez które biegnie tajemniczy strumień? I czy

nie podobna wpłynąć łodzią w ten świat nieznaną?

Wistocie próbowano w różnych stuleciach przedrzeć się w mroczne te przestwory, lecz oprócz niewielu wyjątków, zaliczających się już do naszej epoki, zatrzymywano się na progu. Władca podziemi skutecznie broni swej siedziby. Niema nikogo, coby się nieczuł wzruszonym, gdy poraz pierwszy zbliży się do tych pieczar, z których noc wyziera, i gdy go przejmie grom wód, od którego wstrząsają się wnętrza skaliste. Słaby wodospad w świecie podziemnym odrzmiewa takim łoskotem, jak potężna katarakta w świecie podslonecznym. Trzeba więc najpierwej zwalczyć tę trwogę, która da się przyrównać do febrы armatniej, doznawanej przez młodych żołnierzy.

Mijały tedy stulecia i stopa ludzka poza portyk nie wkroczyła. O nieznanach labiryntach Rjeki pisał w roku 1681 Schönleben, a w końcu 18-go stulecia Hacquet. W początkach czwartego dziesiątka lat bieżącego wieku studniarz Svetino, skłoniony przez wysoce zasłużonego w tej sprawie Antoniego Lindnera spuścił na rzekę dwie łódki, ale niewielki kawałek tylko zwiedził podziemnego biegu rzeki. W latach 1850 do 1852 uczony wiedeczyk dr. Adolf Schmidt i inżynier Jan Rudolph usiłowali zasłonę uchylić. Temu ostatniemu sprzyjał niski stan wody ku schyłkowi zimy roku 1851. W dniu 6 Marca przebył on wraz z czterema robotnikami, górnikami, pięć wodospadów, szumiących w niesłychanie wysokich i obszernych sklepach, ale przy szóstym, owiele potężniejszym od tamtych, zaskoczyło śmiazków nagłe wezbranie wód. Musieli czółen zaniechać i najspieszniej, z niesłychanemi wysiłkami, drapać się po skalistych urwiskach, ażeby ująć niebezpieczeństwa.

Trzydzieści trzy lata minęły, zanim się znowu znaleźli odważnego serca ludzie, którzy sięgnęli po zerwanie tajemniczej zasłony.

Na dzień 20 Stycznia r. 1884 znieśli Antoni Hanke, Fryderyk Müller i Józef Marynicz z Tryestu belki, liny i drabiny sznurowe do groty Szmidla. Wielkie to wydrążenie jest dawnym łożyskiem Rjeki, leżącym nieco na północ od dzisiejszego. Oba łożyska łączą się nieopodal za wejściem rzeki w podziemia. Przez grotę Szmidlową można tedy zejść do brzegów rzeki już pogrążonych w cieniu.

Zanim dalej w opowiadaniu postąpię, poproszę, iżby czytelnik przedstawił sobie trudności, z jakimi ci pionierowie mieli walczyć.

Wyobraźmy sobie przedewszystkiem ciemność tak zupełną, że najgrubsza noc jeszcze się w porównaniu z nią widną być zdaje. W tej ciemności muszą badacze wspinać się po spadzistych brzegach skalnych, wypolerowanych dawniejszemi wezbraniemmi gładko, jak zwierciadło, wilżonych kroplami wody przesączającej się bez ustanku przez wysoki strop. Gdzieniedzie skały oszlifowane są przez wodę, ostro, jak noże. W ciemnościach, pionowo pod niemi, huczy rzeka. Na wchodzących następują zewsząd okropne jakieś przeczucia. Jeden krok fałszywy, a przepaść pochłonie gościa nieproszonego, którego śmiertelne szczątki tylko zawędrują w okolicy nieoglądające nigdy światła bożego.

Prócz moralnego przygnębienia podróżni mają znaczne trudności fizyczne. Nietylko światła, pochodnie, latarnie, ale także belki, drabiny, łódzie, sami nieść muszą; bo żaden chłop z okolicy nie odważyłby się uczestniczyć w ich przedsięwzięciu.

Wędrowcy urządzili w skałach stacją do dalszej wycieczki i zbudowali tratwę. Dopiero 30 Marca, roku 1884, puścili się na tym statku w drogę. Dostali się do obszernej pieczary, którą na cześć jednego ze swych poprzedników nazwali tumem Svetiny, przepłynęli dwa wodospady i wylądowali wreszcie, ostrzeżeni potężnym odgłosem grzmotu o bliskości znaczniejszego wodospadu.

Była-to właśnie owa katarakta, 7 metrów wysoka, do której przed 33-ma laty dotarł był Rudolf. Zapalono lampy magnezowe i przy jasnym ich świetle dostrzeżono skałę wysoką, która otrzymała miano skały Loreley

Dalsza podróż piesza nie była na razie możliwa z powodu wysokiego stanu wody, a gdyby podróżni zechcieli puścić się tratwą, to silny prąd byłby ich niechybnie w kataraktę wtrącił.

Przedsięwzięcie wznowiono aż dopiero 9 Października 1884 r.

Tymczasem umiano pozyskać drogą namowy współudział sześciu chłopów.

Znowu tedy Antoni Hanke, Józef Marynicz i Fryderyk Müller, udali się pieszo do miejsca przy brzegu, które nazwali przystanią. Spuścili na wodę trzy łódki. Dwie z nich odpłynęły o godzinie 9 rano. W pierwszej siedział Hanke, w drugiej Müller. Żeby zaś wędrowcy łatwiej mogli wzajemną niesieć sobie pomoc, połączyli obie łódki liną holowniczą.

W ten sposób towarzyszył Müller Hankemu, który w swej łódce miał jeszcze chłopca, nazwiskiem Jednaka, do miejsca, z którego mogli, przy oświetlonym stanie wody, pieszo już dojść do skały Loreley. W tem miejscu Hanke i towarzyszy jego wylądowali, aby na rzeczonoj skałe poczynić przygotowania do przebycia wodospadu. Później w temsamem miejscu został wysadzony na ląd i Marynicz, mający poczynić zarządzenia do budowy mostu w tumie Svetiny, powyżej wodospadu. Chciano spiąć mostem oby dwa brzegi w tym celu, ażeby zyskać łatwiejszą drogę do sprowadzania materiałów na dół. Należało przedewszystkiem wnieść na wysoką skałę Loreley mnóstwo ciężkich przedmiotów. Najlepiej zobrazują urwiska, po których musieli się drapać, gdy je porównam do zmniejszonego krajobrazu księżycowego.

Po ostrych skałach, wezbraniem nagryzionych, podziurawionych, zeszlifowanych i wywębionych, niełatwo było człowiekowi przedzierać się samemu. Jednakże całe towarzystwo z pakunkami i ciężarami wdarło się na górę. Szczególniej utrudniały drogę oślizgłe namuliska, które się we wszystkich wydrążeniach stoczystości skalnej gnieździły.

Wreszcie podróżni stanęli na szczycie Loreley. Temperatura wynosiła tu  $+8^{\circ}$  C. podczas, gdy u wejścia była  $+6,8^{\circ}$  C. Temperatura wody była  $+5,8^{\circ}$  C.

Znajdowano się w głębieniu, do którego nie dochodziły zmiany ciepłoty właściwe rozmaitym porom roku. Różnicy między dnem a nocą już nie dochodząc drugiego wodospadu nie można było ocenić.

Wędrowcy mieli teraz przed sobą dwa najbliższe zadania. Najpierwej łódkę musieli spuścić, a następnie ktoś na dole powinien ją był przyjąć uwiązaną na linie i tak puścić na kipiący strumień, aby się nie wyrzuciła spadając w kaskadzie. Przedewszystkiem oświetlono wybitniejsze wysokie skały, ażeby można było dobrze widzieć cały przebieg roboty. O porozumiewaniu się przez nawoływania nie mogło być mowy. Głos ludzki niknął wobec szumu rzeki. Sygnały dawano tedy na rogach myśliwskich. Gdy światło zabłysło, ukazał się widok, jakiego niewiele chyba ludzi używało. Dokoła wzgórze, doliny i woda bieżąca, jak na powierzchni ziemi. Podobieństwo z krajobrazem księżycowym uwidatniało się w czarnych, ostro zarysowanych cieniach, wypełniających te zagłębienia, do których nie dochodził strumień magnezowego światła z lamp żarzących się jak rozpalone do białości żelazo. Pochodnie krążące tu i owdzie, wydawały się w tym blasku ledwo przyćmionemi punktami czerwono brunatnemi. Spienione wody, spadające w przepaść, wydawały się jedną masą srebrzyste białego ognia, jakiej nie widziała nigdy fantazyja poety. Pył wodny unoszący się od wodospadu, błyszczał wszystkimi kolorami. Wysokie stropy, słabo muskane światłem dochodzącem z głębi, najzupełniej przypominały ciemne niebo nocne, po którym ślaniają się ciemne obłoczki, ledwo nabierające nieco światła od księżyca, ukrytego jeszcze pod widnokretem. Złudzenie to wywoływane jest przez ciemną barwę skały, na której gdzieniedzie porasta płaski, stalaktylowy osad wapienny. Osad ten przypomina jasne obłoczki. Poruszanie się światła na dole sprawia, że i obłoczki te zdają się być w ruchu. Do tego proszę sobie przedstawić odgłosy

rogów, zapalanie i gaszenie pochodni po obu brzegach, szum wody i—wzruszenie podróżnych niespokojnych o następstwa wyprawy.

Do skalistego cypla przymocowano drabinę sznurową, ośmiometrowej długości, którą spuszczone pionowo ku rzece. W kilku miejscach dotykała poszarpanego boku skały. Dolnym końcem sięgała skalistego wysoku, wzniesionego jeszcze o jeden metr nad wodę, a mającego powierzchnię tak dużą, że na niej jedna stopa ludzka oprzeć się mogła.

Po tej drabinie zeszedł Hanke w głąb. Drobnuchny deszcz kropel unoszących się nad wodospadem przenikał go zewsząd. Gdy stanął na wysokoku skalistym, spuszczone mu na trzech sznurach łódkę. Jedną ręką trzymał się drabiny, druga kierowała łódką. Noga jedna spoczywała na skale, druga bujała nad wodą. Z powodu gwałtownego pędu łódka, ześlizgując się z wodospadem, napełniła się do połowy wodą. Sygnałem rogowym zawiadomił Hanke, że pracy swej dokonał. Towarzysze odpowiedzieli mu z góry okrzykiem radosnym, który przemógł ryk wody. Po kilku chwilach łódka wynurzyła się z głębin i zatrzymała, kołysana falą. Wędrowcy zeszli do łódki po tej ścianie skały Loreley, która jest ku spodowi katarakty zwrócona, a odznacza się karkołomną spadzistością.

Co do dalszej drogi uradzono, aby najpierw jeden poszukał na drugim brzegu miejsca, gdzieby wylądować i zkadby piechotą iść można. Wypróbniono łódkę z wody i Hanke siadł pierwszy dla rozpatrzenia się w dalszym biegu rzeki.

Uznał on za stosowne puścić przed sobą łódkę umocowaną na szpagacie pływaki, to jest deszczułki, na których błyszczały pozapalane światełka. Ruch wody tuż u spodu katarakty jest bardzo gwałtowny. W miarę wszakże oddalania się, światełka zwalniały i bieg coraz bardziej nareszcie pozakreślały kręgi wirowe i stały prawie nieruchome. Widocznie rzeka rozlewa się w tem miejscu na jezioro. Niebawem sygnały Hankego przyniosły wieść, że znalazł punkt odpowiedni do wylądowania. Łódka wróciła z nim razem i całe towarzystwo powoli w nią wsiadło. Zatrzymała się prawie u samego ujścia rzeki do jeziora. Miejsce to obfituje w małe wgłębienia, które podróżni nazwali młynami kamińkow. Podczas wezbrania woda wypełnia z szelestem rzeczonoje wgłębienia, dostając się do nich przez dolne szczeliny, a ruch jej wirowy jest tak nagły, że porywa kamyki, które trącają się o dno skaliste, nabierają gładkości i okrągłości marek do gry.

Podróżni znowu weszli na wzgórek i znowu zapłonęły magnezowe lampy. Na szczycie pagórka słychać było huczenie siódmego i ósmego wodospadu, które zwiedzono następnie. Cienie od ludzi rzucane wydłużały się przeszło na sto metrów ponad wodą i sięgały przeciwległych sklepów. Müller porównywa nieruchome blaski kryształów spatu wapiennego tej ustroni do krajobrazu podbiegunowego, zalanego światłem zorzy polarnej.

Głębokie wody jeziora tak były przezroczyście, że wędrowcom zdawało się, jakoby płynęli w powietrzu. Po tamiej stronie jeziora wznoszą się góry śnieżnej białości. Z odwiecznego snu w głębokim cieniu zbudzone po raz pierwszy odbiły one światło od swej powierzchni. I ażeby uroczystość tę uczcić, obrzemy skaliste rozpromieniły się blaskiem niezliczonych drogich kamieni.

Jezioro od nazwiska jednego z towarzyszyw podróży zostało nazwanem jeziorem Müllera.

Tegoż dnia jeszcze zwiedzono dziesiąty i jedenasty wodospad. Rzeka zwraca się następnie ku północno-wschodowi, jak wykazały późniejsze badania. Lecz te już okolice pokrywa nocnieprzebita.

Nowe podróże są wszakże planowane i niedaleki może jest dzień, kiedy tajemniczy bieg rzeki, odwieczną zagadką będący, nakreślony zostanie na kartach w całości.

## BYLE NIE PANNA.

I.

Była może godzina czwarta popołudniu, a słońce czerwcowe wysoko jeszcze stało na niebie, jako w porze najdłuższych dni w roku, kiedy przed ganek okazałego dworu szlacheckiego, zjechał parokonnny koczyc. Z koczycy wyskoczył elegancki mężczyzna w jasnym okryciu i słomkowym kapeluszu. a kiedy rozglądając się ciekawie w lewo i prawo, wstępował powoli na stopnie ganku, znalazł się nagle w objęciach bruneta, który wypadł z otwartych drzwi domu na jego spotkanie.

— Mój poczciwy, nieoceniony Maryanie! co za niespodzianka!

— Mój Stefanie kochany! jakżem rad, że cię widzę!

Mówili to jednocześnie, przeplatając powitanie radośnymi wykrzyknikami i znowu się ściskali, a potem przypatrywali się sobie uważnie.

Obadwaj byli młodzi i sympatycznej powierzchowności. Stefan ów brunet właśnie, z czarnym wąsikiem i zdrowym rumieńcem na śniadym licu, śmiał się, poprawiając co chwila gestych i starannie uczesanych włosów, które mu się zsuwały na czoło. Maryan, wysoki szczupły szatyn z dużą ciemną brodą, widocznie o parę lat starszy i poważniejszego usposobienia, uderzał wyrazem inteligencji na bladej twarzy i pewnej zadumy w siwych oczach.

— Kopa lat, jakeśmy się nie widzieli — mówił Stefan śmiejąc się — ale niech żyje przyjaźń ze szkolnej ławy! Mam takie uczucie, jakgdybyśmy się dopiero wczoraj rozstali.

— Zawsze ten sam! żywy jak ogień! — mówił Maryn — tylko czupryna w większym porządku niż dawniej. To zapewne dlatego, żeś się ożenił, i, jak słyszę, masz młodą i piękną żonę.

Stefan się śmiał.

— Stare dzieje! — rzekł — już drugi rok, jakem żonaty!

— A! szczęśliwy człowiek! — zawołał Maryan — i podobno jesteś już ojcem rodziny... Mów-że, czego ci mam wina?

— Ano, syna! — odparł Stefan z dumą. — Lecz jakże z tobą? czyś jeszcze *solo*?

— *Solo*! — rzekł Maryan zbledzonym głosem.

— I nie wstyd cię, żeś mi się dał wyprzedzić?... Ale chodźmy do chaty, oto tu na lewo, proszę cię Maryanie, do mojej kancelaryi. Musisz się rozgościć u mnie tak, jak w swoim domu. A ty, kochanku, ruszaj do stajni — dodał zwracając się do furmana — Hej tam! — zawołał z progu na przechodzącego fornala — zasypać koniom po czterech garncach obroku, a furmana wziąć do kuchni na podwieczorek.

I wprowadził Maryana do owej *kancellaryi*, która starym obyczajem oznaczała po dworach większych apartamenty samego pana. Służący tymczasem, który nadbiegł na przyjęcie gościa, wniósł za niego łomok z rzeczami Maryana.

— Przedewszystkiem jedno pytanie, które na wsi jest zawsze pierwszem zbrzega — ozwał się Stefan — Czyś po obiedzie, Maryanie kochany?...

— O, i po satym jeszcze, bo jadę od uprzejmego waszego marszałka Zgórkę, który prawdziwie ze staropolską gościnnością podejmował mnie w domu swoim.

— A to w takim razie pozwolisz herbaty. Janie — rzekł do służącego — pośpiesz się z sa-

nowarem i oznajm pani, że mamy gościa, i że proszę o wcześniejszy podwieczorek.

Wtedy, posadziwszy Maryana na wygodnej kanapie pod oknem, wziął go za obie ręce i tak mówił:

— No, wiesz, takim ci rad, jak bratu rodzonemu! Tylko wytłómacz mi, proszę, dlaczego pierwiej wstąpiłeś do Zgórkę, niż do mnie? i jakie cię bogi przyniosły w te strony?... czy nie matrymonialne czasem zamiary?

— Gdzież tam! Najprozaiczniejsze w świecie interessa pieniądze! W waszym sądzie powiatowym złożono pewną sumę dla moich bratanek, która im przypadła z konkursu po pewnym dłużniku osiedlonym w tej okolicy. Jako opiekun małoletnich, zostałem wezwany urzędownie dla załatwienia formalności u Marszałka Powiatowego i w sądzie i tym sposobem musiałem się wybrać w tak daleką podróż. Bo to ode mnie, jak wiesz, będzie od was, mil przeszło czterdzieści!

— A nie mogłeś też zjechać od razu tu do mnie i ztąd załatwić swoje interesa? — rzekł Stefan.

— Rozumie się, że dążyłem prosto do ciebie, ale mając po drodze wasze miasteczko powiatowe, zatrzymałem się, aby zasięgnąć niektórych wiadomości w urzędzie i tam najniespodziewaniej w świecie zjechałem się ze Zgórkę. Od razu tedy załatwiliśmy wszystko i Zgórek, przypomniawszy sobie jakieś dawne stosunki z rodzicami moimi, zabrał mnie wczoraj do siebie. Słyszac jednak, że mam zamiar cię odwiedzić, i że mnie z tobą łączy tak bliska przyjaźń, już mnie dziś nawet nie zatrzymywał, tylko nakarmiwszy i napiwszy, z wielką uprzejmością ofiarował mi konie i powóz na usługi. I oto masz cały sekret mego niespodzianego zjawienia się u ciebie.

— A, tak, to co innego, jesteś usprawiedliwiony! Musisz tylko odesłać konie Zgórkę; tu będziesz miał całą moją stajnię na zawołanie, bo spodziewam się, że zabawisz u mnie czas jakiś?...

— Rozumie się! czyż mogłem do ciebie wybrać się nakrótka?

Uściskali się ponownie, a potem zapaliwszy cygara, usiedli naprzeciw siebie do dalszej gawędki.

— Nic a nic się nie zmieniłeś, Stefanie kochany — mówił Maryan — ani z powierzchowności, ani z usposobienia, wszystko jednym tchem załatwiać lubisz podawne!

— Ten sam systemat do usług twoich — odparł Stefan śmiejąc się i odgarniając włosy z czoła — ale i ty zawsze tak samo powtarzasz swoje ulubione *rozumie się*. Powagi ci tylko przybyło, i z tą dużą brodą, którąś zapuścił, naprawdę wyglądasz podygnitarsku. Jak Boga kocham żony ci tylko brakuje i dziwię się mocno, że mając już lat trzydzieści, jeszcze nie chciał o tem pomyśleć.

Maryan westchnął nieznacznie i rzuciwszy ręką, wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Zapanowała chwila milczenia.

— *Nie chciał!* — powtórzył wreszcie słowa Stefana. — Jużem dawno chciał, tylko, że od *chciał* do *mogł*, czasem bardzo daleko. Więcem dał za wygrane!

— Jaktó? dlaczego? — spytał Stefan.

— Dlaczego? dla wielu przyczyn kardynalnych. Czy myślisz, że ożenienie się każdemu przychodzi tak łatwo, jak tobie?...

— Czemużby nie? — wtrącił Stefan. — Wszak pięknej nie brak na świecie, a nam służy przywilej wyboru — więc?...

— Pójść i wziąć sobie żonę, nieprawdaż? —

podchwycił Maryan. — W tem właśnie sęk! Pójść — gdzie pójść?... wziąć — kogo wziąć?...

— Mój drogi Maryanie! — zawołał Stefan z żywością — już też obok największej skromności, możesz sobie przyznać, że posiadasz wszelkie warunki charakteru, wykształcenia, powierzchowności i majątku, które ci dają prawo sięgnąć po rękę pańien z pierwszych naszych domów obywatelskich. Jeżeli komu, to właśnie tobie, ożenienie się przedstawia jaknajmniej trudności.

— Tymczasem zachodzą trudności nieprzewidywane. Co i cóż mam obwijać w bawełnę?... Wisi nademną szczególny fatalizm. Myślisz, że mi się kiedy podobała jaka panna?... Jak Boga kocham, żadna dotąd! Bo co to jest panna na wydaniu? Nie znam nudniejszego, ckliwszego stworzenia pod słońcem, mam wstręt wrodzony do każdej. I alboż może być inaczej? Wiem, że szczery, zarzucają mi nawet, że szczerosem moją posuwam do przesady, a panny są uosobieniem przewrotności i udawania. Pokaż mi choć jedną, która byłaby sobą, któraby mówiła naturalnie i nie starała się wydać się inną, aniżeli jest wistocie, któraby nareszcie nie była upudrowana na cal grubości? Alboż ja wiem, jaką potem będzie kobietą ta komedyantka, którą dziś biorę za żonę?... Może być najlepszą, może być najgorszą, więc też z obawy; żebym nie trafił na najgorszą, wolę się nie narażać na losy zdradliwe. Chociaż z drugiej strony, przyznam ci się otwarcie, jakkolwiek sam nie rozumiem, czem się to dzieje, że zwykle ta, która jako panna wydaje mi się nieznośną, zaledwie zostanie mężatką, już daleko korzystniejszego robi na mnie wrażenie, już mi się podoba od razu. Jak tylko mam pewność że pretendentem do ręki być nie mogę, wtedy ogarnia mnie nagle najczulsza sympatya dla osoby, która wiem, że już dla mnie stracona na wieki.

Stefan zaczął się śmiać.

— Śmieję się, śmieję! — ciągnął dalej, Maryan — bo to wistocie zakrawa na zбочzenie umysłowe, ale co powiesz na taki fakt naprzykład, który ci najlepiej odmaluje moje nieszczęśliwe usposobienie. Przed dwoma laty była w sąsiedztwie naszym panienka, o którą wszyscy radzili mi się starać koniecznie, ale nie głupim! nie dałem się namówić! Bywałem dwa razy do roku: na Wielkanoc i na Boże Narodzenie z powinszowaniem świąt, do panienki mówiłem zwykle cztery słowa: *witam panią* i *żegnam panią*. Zaczął się starać ktoś inny i został przyjęty, rozumie się, że jako sąsiad byłem proszony na wesele, i cóż powiesz?... Zaledwie odeszła od ołtarza, już mi się przedstawiała w innym świetle. Przypatrzyłem się jej po raz pierwszy i spostrzegłem, że wistocie bardzo ładna, zacząłem z nią mówić i znalazłem, że wykształcona pełna wdzięku i dowcipu. Żalowałem, ale cóż było robić?... Żal przyszedł poniewczasie.

— *Rozumie się*, że musiał przyjść po niewczasie — rzekł Stefan — skoro jak sam powiadasz, aniś z nią pierwiej nie mówił, aniś na nią nie patrzył. I jeszcze raz *rozumie się*, że skoro dokładasz wszelkich usiłowań, aby być odpychającym, żadna panna nie może ci się podobać, bo żadna nie ma ani chęci, ani pola ku temu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat.

**TREŚĆ.** Zjazd towarzystwa pedagogicznego we Lwowie, (dalszy ciąg). — Pogawędka. — Boży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Badacze świata podziemnego. — Byle nie panna, (Nowella), przez Stefanią Ulanowską.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat. — 25 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Августа 1886 года.